

— Ah! tak, tak. A ty, Stefku... co... Hm! Jakże się to mówi... Czy nie mógłbyś, Stefciu, wystarać się gdzieś o indyczkę, co?

— Dzisiaj? Gdzieżby zaś, wujaszku, dzisiaj? Wszak to pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Wszystko pozamykane.

— Ah!... Pozamykane... Otóż widzisz, Stefku, mój, kochasiu, co mi się wydarzyło: mamy jedną indyczkę, a ja zaprosiłem gości na dzisiaj i na jutro właśnie na indyczkę. Djabł mnie podkusił, co?

— Tak, sytuacja okropna — zgodził się pokornie Stefan. — A niech wujaszek powie dzisiaj, że jest chory...

— Ktoby tam uwierzył, skoro widziano mnie już w cerkwi.

— Można by powiedzieć, że kucharka spaliła indyczkę.

— A jeśli oni ze współczucia pójda do kuchni zobaczyć — co wtedy?... Nie, tu trzeba by tak zrobić, żeby indyczkę widzieli, ale jej nie jedli. Jutro ogrzejemy! będzie znów, jak żywa.

— Więc niech ktoś z gości powie, że są syści i że nie trzeba krajać indyczki...

Wujaszek zagryzłszy górną wargę, patrzył w zadumie na siostrzeńca i nagle zaśmiał się z radości...

— Stefaś, najdroższy. Zostań na obiedzie. Wszakżeś krewniak, swój — tobą się nie trzeba kępować. Pomóż, Stefku, co? Podnieś głos przeciwko indyczce.

— Ale czy mi wypada, wujaszku... Wygląd mam taki... nietentegowaty...

— Cóż znów! Ja cię, kochasiu zarekomenduję, jako honorowego gościa, będę koło ciebie skakał. A gdy pod koniec obiadu dadzą indyczkę — palniesz sobie tak przekonywająco: „Poco też ja krajać bez potrzeby — nikt nie będzie jadł, wszyscyśmy syści — niech ją zabiora”.

— Wujaszku, ależ każdy nazwie mnie w duchu chamem.

Gdy goście siadali do stołu, Wasyl Mikołajewicz zaprezentował Stefana:

— To jest, proszę państwa, mój krewniak i przyjaciel, Stefan Teodorowicz! — Wielki oryginał, ale człowiek światowy. Proszę siadać tu, Stefanie Teodorowiczu. Wódeczki, czy likieru?

Stefan uśmiechnął się błogo, zatarł wielkie, kościste ręce i gołnał duży kieliszek wódki.

— Mam znajomego generała — oświadczył dosyć głośno — otóż ten generał zagryzał wódkę jabłkiem.

— Który to generał — zapytał nadskakująco wujaszek — czy ten, gdzie to trzymałeś do chrztu syna?

— Nie, inny. Tamten, to — plotka, zwykły sobie generał brygady... A w Europie, wiecie państwo — niema zupełnie generałów!

— A pan był tam? — zerknął na niego sąsiad.

— Oczywiście, byłem. Ja wogóle, co rok... W operze bywam często. Nie rozu-

miam wogóle, jak można żyć bez rozrywki.

Dwa kieliszki i świadomość, że cokolwiek powie — wujaszek nie będzie go hamował — podnieśli przyjemnie Stefana.

— Tak, proszę państwa — rzekł, gryząc z dziką energią bułeczkę z kawiozem. — Wogóle trzeba państwu wiedzieć, że Mitiukow to osobistość, która zajdzie daleko. Oczywiście, Mitiukow, jest być może niepozorny, ale Mitiukowa należy znać. Sirzec należy Mitiukowa.

— Stefanie Teodorowiczu — rzekł słodko wujaszek — proszę pasztecik do zupy.

— Bóg zapłać. O, Anglicy, naprzykład weale nie jedzą zupy... A innych w kozi róg zapędza, zanim się zdołają spostrzec. Słowo honoru.

Tak, czy inaczej, rozmową zawładnął Stefan.

Opowiedział, jak to u nich w składzie drzewa, gdzie pracował, deska przygniotła pracownikowi nogę, jak schwytało w pobliżu nich złodziejaska, jak zakochała się w nim jakaś panna i zakończył z wielką pewnością siebie:

— Nie, co tu gadać! Mitiukowa jeszcze nie zna! Ale Mitiukow pokaże, co umie. O Mitiukowie będą jeszcze mówili i niejednemu jeszcze Mitiukow napsuje krwi! Co tu ukrywać — Mitiukow ma, oczywiście, wielu zazdrośnych, ale... Mitiukow depcze ich duchowo nogami!

— Przepraszam... ale ten Mitiukow — zaczęła jakaś dama.

— Co?

— Któż to taki, ów nadzwyczajny Mitiukow?

— Mitiukow? To ja.

— Taak... A ja myślałam — Bóg wie kto!

— Mitiukowa trudno rozgryźć, ale skoro się go już rozgryzło...

Tymczasem podano właśnie indyczkę. Wszyscy pociągnęli chciwie smakowity zapach. Stefan zaś wstał, klasnął w dłonie i rzekł wspaniałym, zaiste tonem:

— Jeszcze indyczka? Nie, toż to szaleństwo! Ależ my się rozchorujemy z przedzenia! Wszakci już jesteśmy wszyscy syści, nieprawdaż, proszę państwa?! Nie warto nawet indyczki napocząć? Prawda?

Wszyscy mruknęli coś wielce niezrozumiałego.

— No tak! — zawołał Stefan. — To samo i mówię: nie warto jej napocząć! Mechże ją zabiora na młodość boską!

— A może jednak zjedzą państwo po kawałku — rzekł wahająco gospodarz, igrając długim nożem. — Indyczka pono zaczyna z kasztanami.

Długonogi Stefan pochylił się nagle naprzód, zbliżając twarz niemal do samej indyczki.

— Powiada kuzyn — z kasztanami?! — dziwnie jakoś stęknął.

— Słina zwilżyła nagle jego wargi, oczy zaś zabłyśły taką historycznie głodną chciwością, że gospodarz wziął półmisek i rzekł ze sztucznym uśmiechem:

— Skoro nikt nie reflektuje — trzeba będzie zabrać.

— Z kasztanami?! — jęknął Stefan przymknawszy oczy. — Ha, jeśli z kasztanami, to ja... nie odmówię kawałka.

Nóż drgnął w ręce gospodarza... Zawisł nad indyczką... Był jeszcze promyk nadziei, że Stefan powie: nie, ja żartowałem — nie trzeba.

Ale Stefan nie był człowiekiem żartującym w podobnej sytuacji. Usiłując uniknąć wzroku gospodarza, rozkazał:

— Proszę dla mnie... ukroić od pierśki udko.

— Proszę, proszę, służę — rzekł upadłym głosem gospodarz.

— W takim razie, skoro już napoczęto, to i dla mnie kawałek — podchwyciła sąsiadka Stefana, ta, która nie wiedziała, kto zacz jest Mitiukow.

— I dla mnie! I dla mnie!

A gdy (po upływie dwóch minut) na półmisku leżał ponury szkielet indyczki, gospodarz wstał i rzekł stanowczo do Stefana:

— Ach, tak! Byłbym zapomniiał, general! proszę kuzyna do telefonu. Chodźmy, zaprowadzę do aparatu... Państwo wybaczą.

Stefan wstał pokornie i jak skazaniec za katem, poszedł pokornie za wujaszkiem, dogryzając udko indyczce...

Dopóki byli w jadalni, gospodarz nie zmienił tonu, ledwie zamknęły się za nimi drzwi od gabinetu — ton uległ zmianie.

Scena była, mniej więcej, taka:

— Ach Stefanie Teodorowiczu, ten generał nie może żyć bez ciebie... Zresztą, prawdę mówiąc, i inni również... Kuzyn masz taki swoisty, subtelny sposób życia. że... Cóż, szelmo jedna, zrobił! Powiedziałeś, że nie będziesz jeść, a pierwszy rzuciłeś się na indyczkę, he? Co to znaczy? Ryby ci nie dałem? Zupy i kotle-tów — nie dałem? Myślałem, że masz już po uszy, nadskakiwałem, niby pierwszej osobie, a ty — taka żwinia? Wszak już wszyscy goście zrezygnowali, a ty wyskoczyłeś nagle, kanajło?

Stefan szedł za nim, przyciskając do pierśki kościstą rękę i mówiąc płaczliwym głosem:

— Wujaszku, ależ wujcio nie uprzedzał, że indyczka będzie z kasztanami! Czemuż ja tego nie wiedziałem? A właśnie kasztanów z indyczką nigdy jeszcze nie jadłem.. Zrozumie, wujaszku, że to nie ja zgubiłem indyczkę, lecz kasztany. Ja już całkiem zrezygnowałem, raptem słyszę: kasztany, kasztany!

— Precz, niedzniku! Żeby twoja noga nie postąpiła tu więcej!

Wujaszek wyrwał Stefanowi z ręki o-gryzane udko i gniewnie trzepnął niem siostrzeńca po twarzy:

— Żeby mi tu śladu twego nie było!

— Wujciu, a co do trzewików...

— Co-o-o?! Marysia, wyprowadź pana! Pałto!



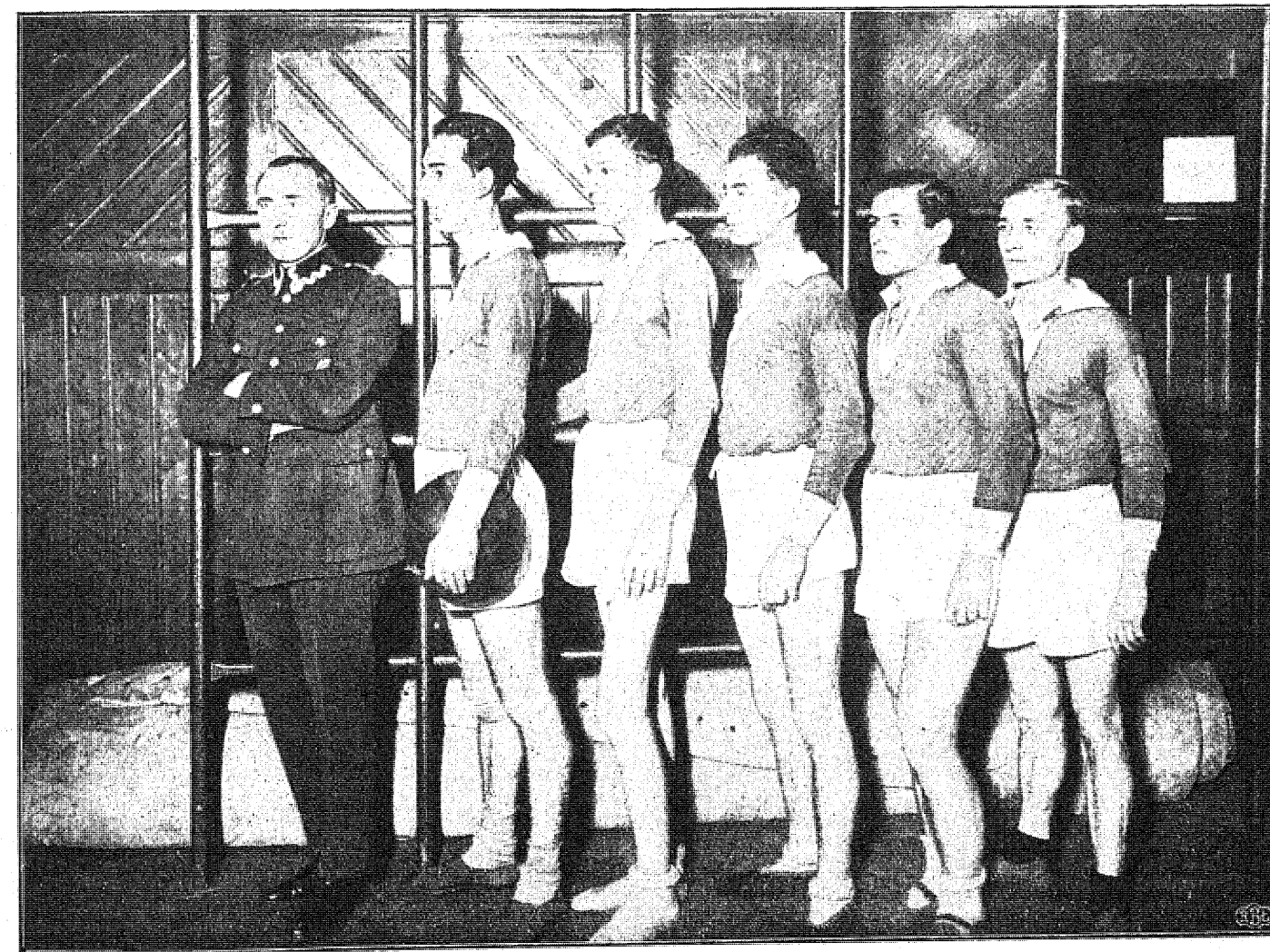
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, dnia 8 stycznia 1928 roku.

№ 2.

Rozwój łódzkich drużyn sportowych.



Na zdjęciu naszym widzimy zespół piłki koszykowej Łódzkiego Klubu Sportowego z kierownikiem Ośrodka Wychowania Fizycznego, porucznikiem Kuźnickim na czele. Fot. A. Meyer.

TEATRALIA.

Premjera w Narodowym. — Z nowości polskich. — Teatry lwowskie. — Najnowsza sztuka d'Annunzia.

Po premierze „Lekarza miłości“ — WI Perzyńskiego w Teatrze Narodowym, wypada jeszcze kilka słów poświęcić tej bardzo udanej komedji, której trochę komentarzy poświęciliśmy już w kronice poprzedniej. Według bardzo zgodnej oceny krytyki, komedję Perzyńskiego cechują przede wszystkim kultura i prostota, a więc dwie kardynalne zalety, nie nazbyt często spotykane w najnowszej twórczości. Mimo wyraźne piętno aktualności, „Lekarz miłości“ wolny jest od przesady i moralizatorstwa, posiada wdzięk i przejrzyistość zarówno w fakturze jak i w treści. Unikanie kropek nad i, zreczne stonowanie kolorytu tła, delikatne kontury głównych postaci — są to wszystko znamiona dobrej roboty pisarskiej, umiejacej sobie dobrze dać radę z podjętym tematem. Co się tyczy fabuły, jest ona nieskomplikowana, lecz — mimo to — przeprowadzona w sposób zgrabny i zajmujący. Przyjaciółka panna ministra, aktorka Mary, otrzymuje pewnego dnia od swej przyjaciółki, panny sklepowej, oryginalną propozycję: ponieważ ta przyjaciółka reflektuje na względy bogatego przemysłowca, serce zaś ciągnie ją w stronę młodego dziennikarza, przeto prosi aktorkę, aby... uwiódła sympatycznego chłopca i tym sposobem wyleczyła jego partnerkę z niewygodnej pod względem materialnym miłości. Oczywiście w trzecim akcie okazuje się najdowodniej, że intryga ta spelza na niczem. Aktorka nie potrafi odegrać roli „lekarza miłości“, kasjerka łączy się z ukochanym dziennikarzem, zaś ów przemysłowiec poszukuje w dalszym ciągu bogatej kandydatki do stanu małżeńskiego.

Doskonała obsada sztuki — Solski, Cwiklińska, Gromnicka, Dulębianka, Zelwerowicz, Gawlikowski — uwydatniła jej walory teatralne i postawiła wszystkie zalety komedjowe we właściwym świetle.

Ogromne powodzenie zyskały sobie w Poznaniu „Jaselka“ pióra znanego poety Emila Zegadłowicza, wyreżyserowane przez p. Młodziejowską. Dużo pomysłów, prawdziwie poetyckich, rodzimost i podniosłość nastroju, wesołe intermedja, doskonale kontrastujące ze scenami kolendowymi, zręczność w efektach scenicznych — to są najcharakterystyczniejsze cechy widowiska poznańskich „Jaserek“ mogących zająć godne miejsce obok popularnego misterjum Lucjana Rydla. „Jaselka“ Zegadłowicza mają nad niem tę niewątpliwą wyższość, że powstały w zmienionych już radykalnie warunkach politycznych i przystosowane są w odpowiedni sposób do współczesności.

Mieszkający czasowo w Wiedniu znakomity kompozytor polski, Ludomir Różycki, pracuje obecnie, jak się dowiadujemy nad ciekawym baletem pod tytułem „Młyn diabelski“. Ma to być obraz współczesnego



„Choinka“ w Kasie Emerytalnej pracowników Elekrowni Łódzkiej. Na zdjęciu organizatorzy i rodzice obdarzonych gwiazdką dzieci.

wielkiego miasta, ujęty w formę dramatycznej pantominy baletowej. W szeregu scen, ilustrowanych odpowiednią muzyką, przesuną się przed oczyma widzów barwne fragmenty — portu w Marsylii, palarni opium w Szanghaju, zgiełkliwych ulic miast amerykańskich aż do końcowego obrazu, gdy w sferach, oderwanych od współczesności, w odmętach oceanu, wraz z okrętem-olbrzymem ginie na wieki wszelki ślad „diabelskiego młyna“ dni dzisiejszych. Należy podkreślić, że fabułę baletu skomponował również autor muzyki, to znaczy Różycki.

Przy tej okazji warto nadmienić, że w marcu państwowa opera wiedeńska występuje z premierą „Pana Twardowskiego“, który niedawno zdobył tak wielki sukces w Pradze Czeskiej. Do reżyserji powołany będzie prawdopodobnie baletmistrz opery warszawskiej p. Zajlich, a w widowisku wzięcie udział znakomity zespół baletu wiedeńskiego, złożony z 90 osób.

Opera warszawska przygotowuje na koniec lutego operę polską Witolda Maliszewskiego p. t. „Syrena“. Utwór ten nie był dotychczas nigdzie wystawiany a ze względu na interesującą muzykę i pomyslowe tło dekoracyjne zapowiada się bardzo szczęśliwie. Po za tem Teatr Wielki wystawia wkrótce dwie duże oryginalne premiery baletowe, mianowicie: „Pulcinelle“ — Strawińskiego i „Carillon magique“ — Mangiagli'ego.

Teatr Miejski we Lwowie występuje wkrótce ze sztuką młodego poety-lwowianina, Andrzeja Rybickiego, p. t. „Snieżysta noc“. Kilka tygodni temu „Reduta“ wileńska na inaugurację sezonu wystawiła dramat tegoż autora — „Okno“, o czym pisaliśmy w swoim czasie obszerniej. P. Ry-

bicki ma ponadto w tece dwa dramaty: „Purpurowa kurtyna“ i „Dzień dobry“ oraz komedję „Szczęśliwi“.

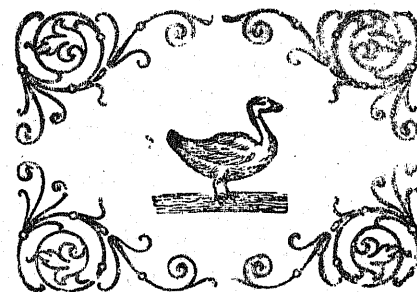
Wystawiona w tych dniach w lwowskim Teatrze Wielkim komedja Forzana p. t. „Donna Oretta“ jest utworem bez porównania lepszym, niż grana niedawno w Łodzi tegoż autora komedja p. t. „Dar poranka“. Rzuciwszy postacie „Donny Oretty“ na wdzięczne tło renesansowe, Forzano z miłą swobodą opowiada wesołą i pogodną historyjkę o żonie włoskiego kupca, która lubiła grę w szachy, posługując się w niej swymi kochankami jako pionkami, aż wreszcie została przykładnie ukarana, gdyż stała się wkońcu sama pionkiem w grze miłosnej, zakochawszy się naprawdę w urodziwym hrabi di San Gimignano. Dobra konstrukcja sceniczna oraz dialog żywy i wytworny są filarami powodzenia „Donny Oretty“, doskonale granej w głównych rolach przez pp. Mazarekównę, Nosarzewską i Strachockiego.

Przy życzliwym poparciu władz miejskich i z pomocą dyrektora Trzecińskiego, związek teatrów i chórów ludowych we Lwowie przystąpił do zorganizowania Teatru Popularnego. Nad repertuarem czuwać będzie specjalnie powołany komitet, którego zadaniem będzie również: propaganda w szkołach, zreszezeniach i wśród najszerszych warstw przedstawień popularnych oraz pomoc w organizowaniu odpowiednich prelekcji i w rozsprzedaży biuletów. Zarząd miasta jak najżywiej zainteresował swe daleko idące poparcie. W tych dniach odbyło się pierwsze przedstawienie z cyklu widowisk popularnych, na którym wystawiono „Księcia Niezłomnego“.

Artystycznym symbolem zbliżenia fran-

cusko - włoskiego było wystawienie w Comédie Française najnowszej sztuki Gabriela d'Annunzio p. t. „Prawda pod korcem“ („La torche sous le boisseau“). Jest to ponury dramat kłębiący się namiętności, oślepła sarabanda miłości i nienawiści, której tłem jest nawpół zrujnowane starożytne zamczysko szlacheckiego rodu di Sangrów. Bohaterami rodzinnego dramatu są Tibaldo Sangro i brat jego Bertrand oraz dzieci Tibalda — Simonetto i Gigliola i druga żona jego podstępna Angizia, dawna służąca Sangrów. Gigliola pragnie stać się mścicielką śmierci matki, zamordowanej przed laty przez okrutną Angizję. Nienawiść dzieł braci: Tibalda i Bertranda, gdyż ten ostatni jest kochankiem Angizji. W tym kolowrocie mordów, gwałtów, mienawiści i śmierci rozgrywa się wysoce dramatyczna akcja sztuki d'Annunzia, obfitująca w brutalne i szarpające efekty sceniczne. (Np. Gigliola przed zamordowaniem Angizji popełnia „powolne“ samobójstwo przez zanurzenie rąk w worku, pełnym jadowitych węzów). Mimo najrozmaitsze jaskrawości i otaczającą dramat atmosferę rozpętania najniższych instynktów, „Prawda pod korcem“ daleka jest od przeciętności i nie ma nic wspólnego z jałową naogół tuzinkową produkcją sceniczną lat ostatnich. Zresztą pierwsza dramatyczna scena francuska wyzyskała wszechstronnie bogate zasoby artystyczne, by sztuce d'Annunzia dać jak najlepszą obsadę i oprawę.

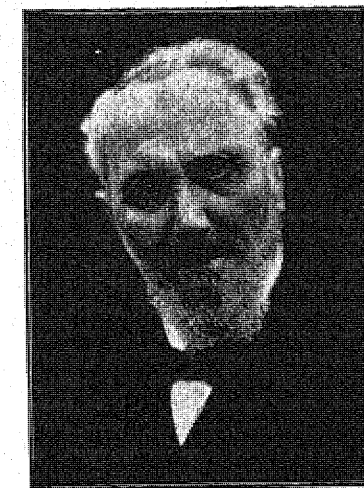
Delta.



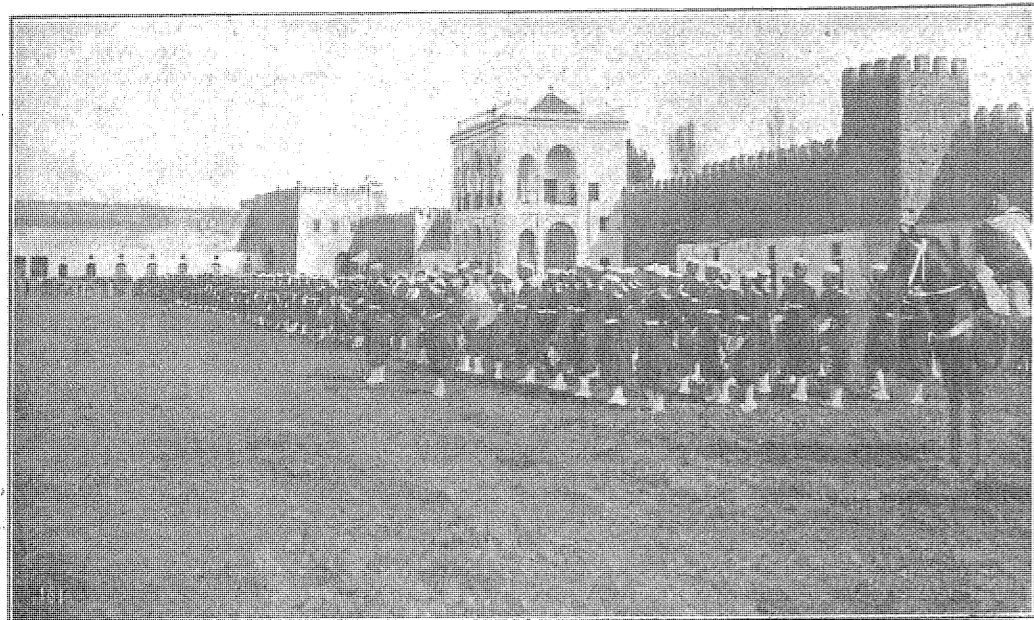
„Radość kochania“ L. Verneuil'a w Teatrze Kameralnym w Łodzi z p. Jarkowska i jej partnerem p. Kwiatkowskim w rolach głównych.



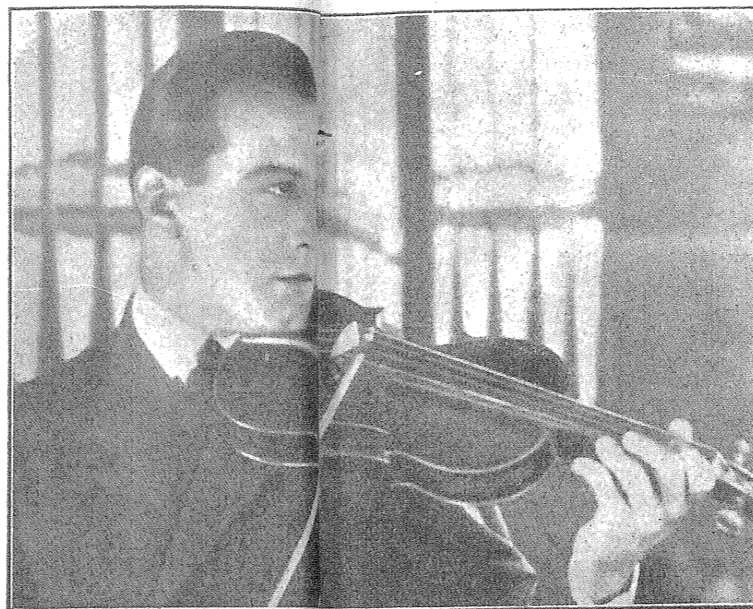
Dwie nowe gwiazdeczki polskiego ekranu: 6-letnia Biana Dodo i Musia Dajchesówna w filmie krajowej produkcji p. n. „Przeznaczenie“.



Prof. Wacław Szymanowski, znakomity muzyk polski.



„Czarna gwardja“ przyboczna Senegalczyków w Fezie.



Najpiękniejszy amant europejskich ekranów, Ivan Petrowicz, w arcydziele p. „Szatańska Syrena“.



Piękny widok na serpentynę górską.



Niezapomniany „Złodziej z Bagdadu“ i „Robin Hood“ – wielki „Doug“ w swej nowej kreacji.



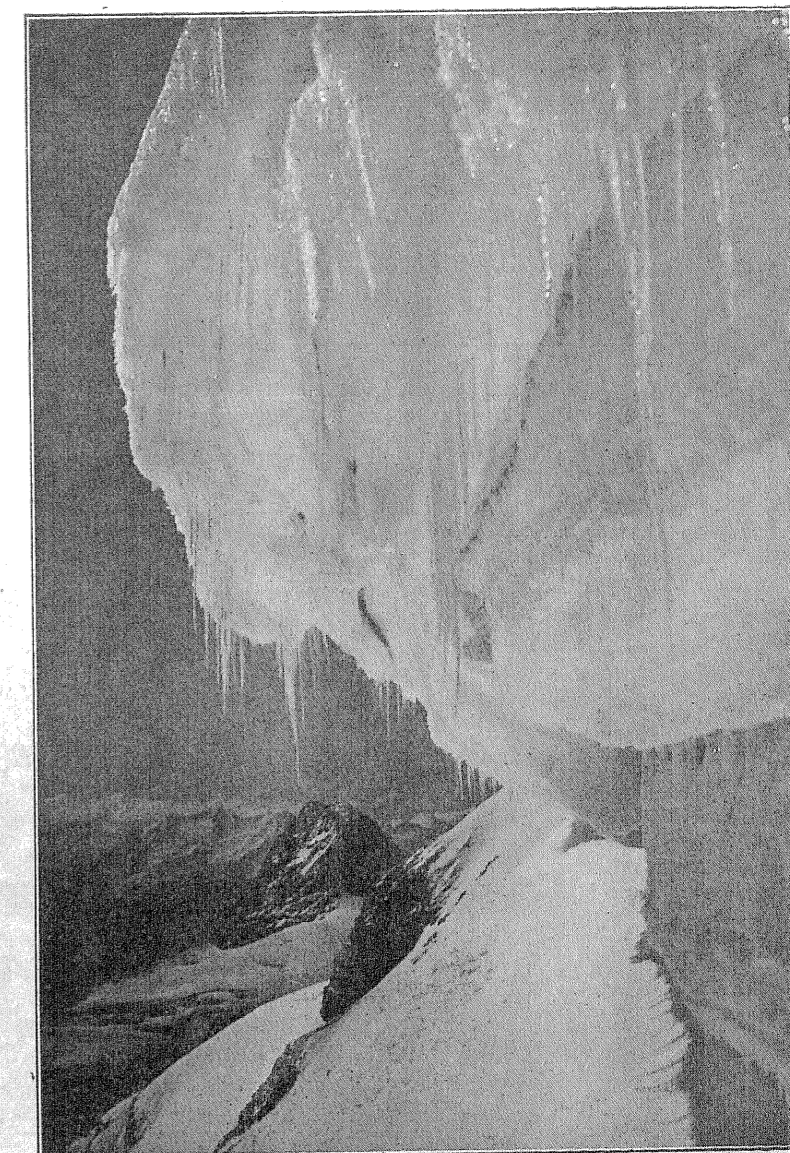
Włoski następca tronu, ks. Humbert, na trybunie sportowej.



Ulica w Kantonie po ostatnich zaburzeniach.



Uroczy zakątek górski w Szwajcarii.



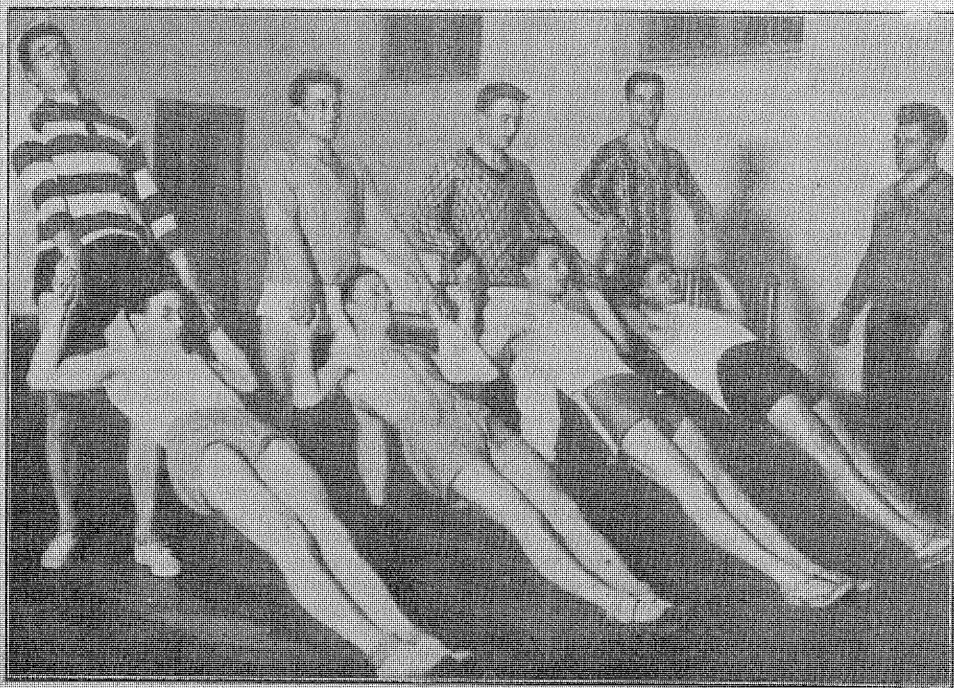
Lawina śnieżna na wysokości 3290 metrów.



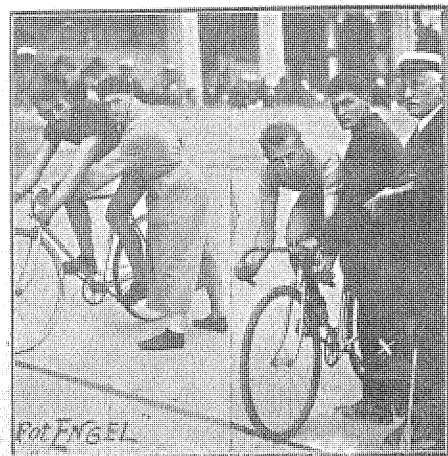
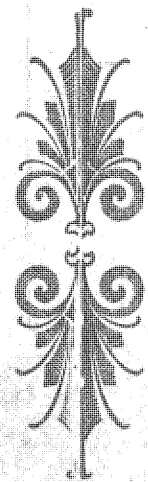
Bronisław Czech, chluba narciarstwa polskiego, trenuje do Olimpiady w St. Moritz.



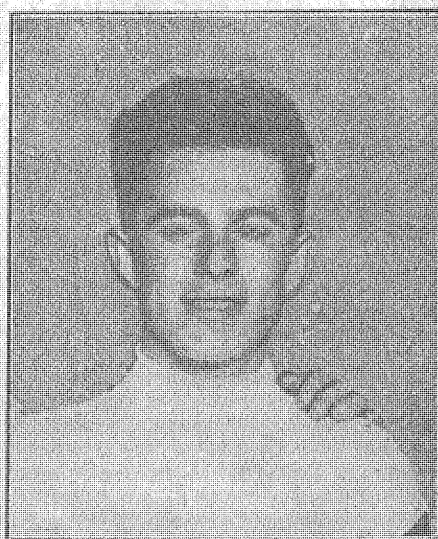
Kobięce zawody szermiercze w Warszawie. Na zdjęciu widzimy dwie najlepsze zawodniczki Polski Renka i G. G. G.



Olimpijski trening lekkoatletyczny. Między innymi widzimy na zdjęciu dwóch łodzian: Kostrzewskiego i Maciaszczyka.



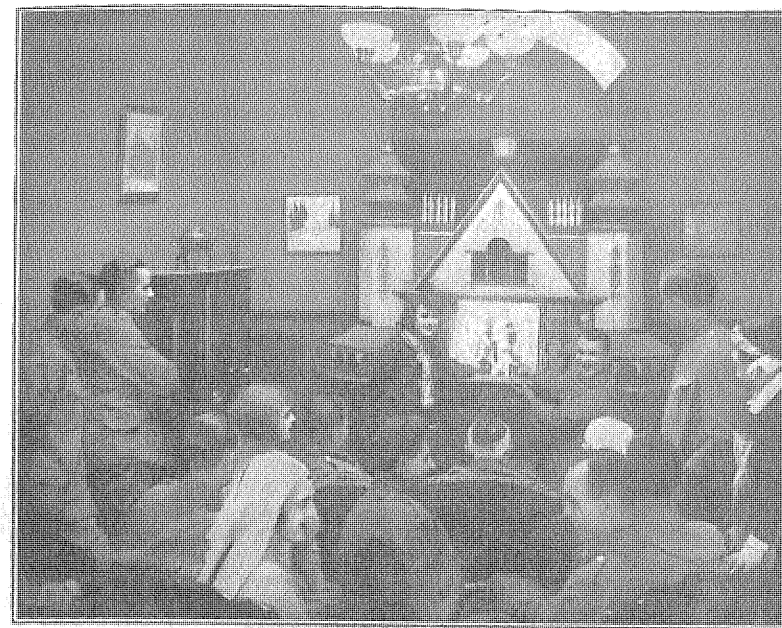
Koszutski i Szymczyk na torze w Kaliszu.



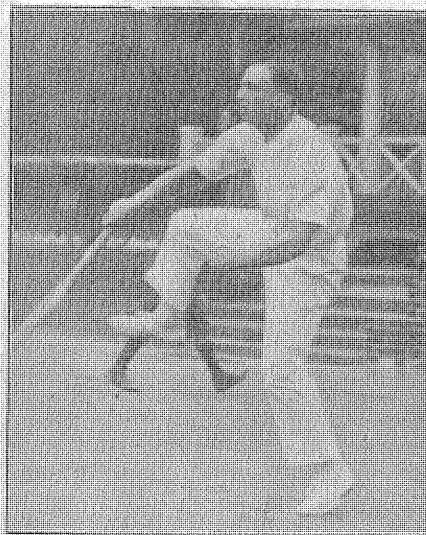
Folarz francuski, Raynard.



Aleksander Klumberg, polski trener olimpijski w lekkiej atletyce.



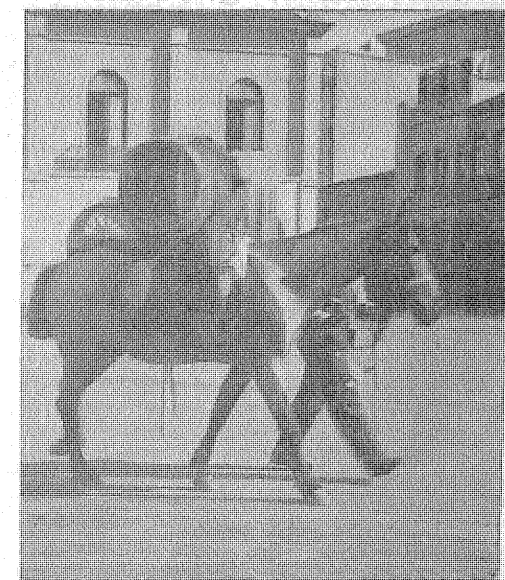
Marja Malicka i W. Walter w nowym polskim filmie p. t. „Mogila Nieznanego Żołnierza”.



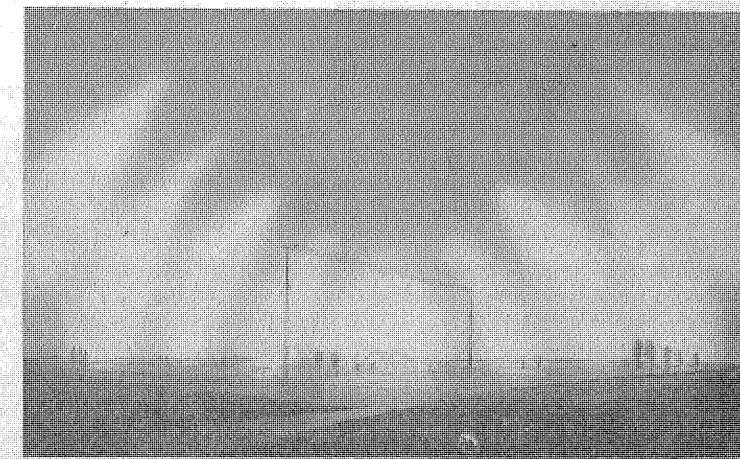
S. p. Edward Kleinadel, jeden z najlepszych tenisistów polskich.



Fiszówna (Kalisz) jedna z najlepszych zawodniczek okręgu łódzkiego.



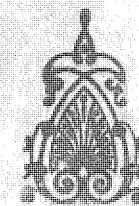
Wzdłuż wybrzeża Pacyfiku.



Radio w świetle.



Z filmu „Mogila Nieznanego Żołnierza”. Marja Malicka pod kołami samochodu.



Ostatnie chwile.

Wielu, bardzo wielu ludzi chętnieby z życiem skończyło, które jak brzemie nie do zniesienia im ciąży! Jak jarzmo, co rano na kark wkładane, a wieczorem na krótko zdjęte, by powietrza na znój dnia następnego zaczerpnąć!

Wielu, ach, wielu do śmierci wzdycha. Nie mogąc się jednak odważyć na krok stanowczy, który... niewiedomo dokąd prowadzi....

— Dokąd? Dokąd? — pyta młode dziewczę, z szeroko otwartymi oczami, leżąc na łóżku i wpatrując się w niemy sufit podczas gdy silna gorączka wątlęciem ciałem wstrząsa.

Żywej duszy przy niej niema, do którejby się mogła z pytaniem tem zwrócić! Ani opuszczonego jakiegoś zwierzęcia nawet, którego los jednaki z jej smutnym łosem by ją pogodził!

Ach, ta samotność! Samotność w godzinę śmierci! W ostatniej chwili życia! Samotność, co jej towarzyszyła przez wszystkie dni posępnego żywota!

Gdzie jest Bóg, by murami wstrząsnął i żywymi istotami tę pustą izdebkę zaludnił? By pokazał, że Bogiem jest! By ją dla której wszystkie godziny jej życia męką konania były, promienną jasnością rodzinnego ciepła w jej ostatniej godzinie otoczył!

Niema odpowiedzi. Chore dziewczę rozpaloną głowę wciska w poduszkę. Kroplisty pot oblewa ciało. Przerażony wzrok tkwi w suficie, na którego mętnej bieli majaczą się obrazy wspomnień...

Mała dziewczynka — czteroletnia zaledwie — tańczy wokoło konia, który się nazywa Hotto.

Kiedy dziewczynka zawoła: „Hotto!“ — koń idzie wślad za nią. Do samego morza dałby się wprowadzić, gdyby mógł w ten sposób wierności swej dowieść.

Wieśniacy uśmiechają się na widok „małej Ellen“ i „wielkiego kudłatego konia“, mówiąc:

„Co za dobrana para!!!...“

Co niedziela przychodził ojciec z miasta. Ma ogromną brodę, jak karzełki w książeczkach z bajeczkami. Idzie z małą na łakę; łowi jej młode żabki, co tak śmiesznie przez ręce skaczą, motylki w siatkę, goni małe cielątka.

Ellen jest szczęśliwa. Ale byłaby stokróć szczęśliwsza, gdyby ojciec razem z nią śmiał się do wtóru. Ojciec jednak nigdy się nie śmieje. Robi tylko wszystko, co może, aby dziecku swemu przyjemność sprawić.

Matka? Niema matki. Jest za to słońce, co ciepłą dłoń na główkę Ellen kładzie... No i Hotto coś także wart...

Szkola... Wielki gmach szkolny w centrum miasta ze złotym szyldem nad bra-

ma wejściową i podwórzem, wysadzonym klonowymi drzewami. Dla uciechy działwy chyba posadzono klony przed szkołą! Cóż to za rozkosz w lecie zrobić okulary z klonowych liści, na mosek je założyć i panią nauczycielkę udawać!

Po opuszczeniu szkoły Ellen z zieleni wpada w szarżynę. Mieszka w małej izdebce u pewnej pani. Ojciec dawno już nie żyje. Każdego popołudnia po szkole musi być naczynie umyte i kuchnia czysto uprzątnięta. Potem idą zadania szkolne, sprawunki, po podwieczorku cerowanie pończoch, obieranie kartofli i jarzyn.

Dzień w dzień pani przypomina Ellen, jak dobrą jest dla niej; opłaca jej jedzenie, odzież i szkołę....

Ellen wie, że pani ma słusność, ale czuje się taka nieszczęśliwa przytem. Płacze nad swymi lekcjami szkolnymi, płacze, kryjąc twarzyczkę w drobne spracowane rączyny....

Dlaczego płacze? Ach, ciężki kamień pierś jej przygniata!

Pewnego dnia pani rozmawiała z sąsiadką. Ellen była w sąsiednim pokoju, o czym obydwie nie wiedziały.

Ellen słyszy:

— Co pani mówi...? Z jakiego powodu?

— A no, miał chorobę, wie pani, taka, o której lepiej nie mówić.

— Cooo... Ojciec Ellen?

— Ależ tak. Napewno. I to w wysokim stopniu.

— Hm... Nic dziwnego, że sobie kulkę wpakował w głowę....

— Zapewne. Ale z jakiej racji mnie swoją dziewczynę za te parę groszy narzucał...?

Ellen sylabizuje ostatnie słowo, które w zeszytce napisała. Sylabizuje przez całe pół godziny i jeszcze nie rozumie, co ono oznacza?

Ulica. Wielkowiejska ulica. Kilkopiętrowe domy, wystawy w oknach, szyldy, śpieszący się ludzie, węże turkoczających i warczących aut.

Ellen, stojąc w tramwaju, łyka ostatni kęs swej bułeczki. Złe się czuje. Jest senna, chora. Głowa jej ciąży. Z trudem prosto ją trzyma między łopatkami.

Na Placu Parady wyskakuje jeszcze przed zatrzymaniem się tramwaju na ulice i pędzi do magazynu z rękawiczkami; kłamie się właścicielowi, który co rano przy jej wejściu patrzy na zegarek i staje za ladą sklepową.

Siedzieć nie wolno. Zasadniczo siadać nie można w obecności właściciela magazynu. W czasie handlowego zastój nawet stać trzeba za ladą i oczekiwać klientów.

W pół godziny po Ellen nadchodzi jej koleżanka. Ubrana szykownie w popielatą lub jasno-czerwoną albo bladoniebieską sukienkę, w cieniutkich pończochach. Przeprasza, kiedy się spóźni. Nie potrzebuje zresztą tłumaczyć się. Właściciel nigdy na zegarek nie spojry, jak ona do magazynu

nu wchodzi. Siada też, od czasu do czasu, kiedy stanie się jej uprzykrzy....

Pewnego dnia zaprosiła Ellen do baru. Izba w żółto-czerwone pasy. Pełno dymu. Muzyka. Głębokie wnąki - niszce ze stolkami o migotliwie płonących lampkach w dzień po obu stronach sali.

Obstałowała dwa likiery. Ober-kelnera przywitała, jak dobrego znajomego. Nogą wybija rytm tanecznej muzyki.

Spojrząwszy na Ellen ze współczuciem, odzywa się do niej półgłosem:

— Na co ci dano ładne ciało, nieboże?

Dwaj młodzi panowie podeszli do stolika. Jeden przystojny i dobrze ubrany przy Ellen siada i zaczyna z nią na „ty“ rozmawiać.

Ellen nieswojo z początku, ponieważ jednak pan jest miły i ładnie się do niej uśmiecha i ona mówi „ty“ do niego.

Po pięciu minutach wszakże pan jest źle wychowany, niegrzeczny.... Jedną ręką obejmując jej szyję, a drugą za bluzkę sięga...

Ellen zrywa się z krzesła i daje mu w twarz. Muzyka grać przestaje, wołają gospodarza, który prosi Ellen o natychmiastowe opuszczenie lokalu....

Od ośmiu lat Ellen mieszka na tej samej ulicy, pracuje w tym samym magazynie, widzi te same twarze. Osiem długich, beznadziejnie smutnych lat, po których nagle, jak piorun z jasnego nieba, spada na nią dymisja....

Nazajutrz, jak zwykle, wczesnym rankiem Ellen śpieszy do tramwaju i staje tuż przy wejściu.

Kiedy wóz przez most przejeżdża nagle wyskakuje z tramwaju. Nim motorniczy, konduktor i pasażerowie zdążyli się zorientować i przeszkodzić, już jest na poręczy mostu i rzuca się do rzeki....

Słyszy krzyk ludzki za sobą, czuje dziwnie ostry pęd powietrza w uszach, nagle zimno.... i traci przytomność.

Jasny promień słońca pada na sufit. Co to za czarny punkt nagle na gzymsie się ukazał? Pełza. Staje. I znów pełza.

Pająk... Naprawdę... pająk... żywa istota... której można... zadać pytanie... dokąd się idzie po śmierci...!

Jakiś zegar bije w mieście. Ellen nasłuchuje. Jedno uderzenie. Pierwsza godzina. Jak ludzie mówią? Pająk w południe przynosi szczęście... na dzień trzeci...?

Ellen dzisiaj umrze... Więc... na trzeci dzień... zmartwychwstanie...? Po co...? Na co...? Dokąd...? Znowu na Milchstrasse 54...? W centrum handlowem...? Dzień dobry, panie Grömer... Ile pan płaci miesięcznie... w przybliżeniu... za reklamę świetlną... w takim punkcie miasta...? Gratis...? Ha, ha, ha...! Gratis... Jakże to śmieszne...!

Lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził śmierć na skutek ataku sercowego około godziny 1-ej po południu.

Tłum. Jotsaw.



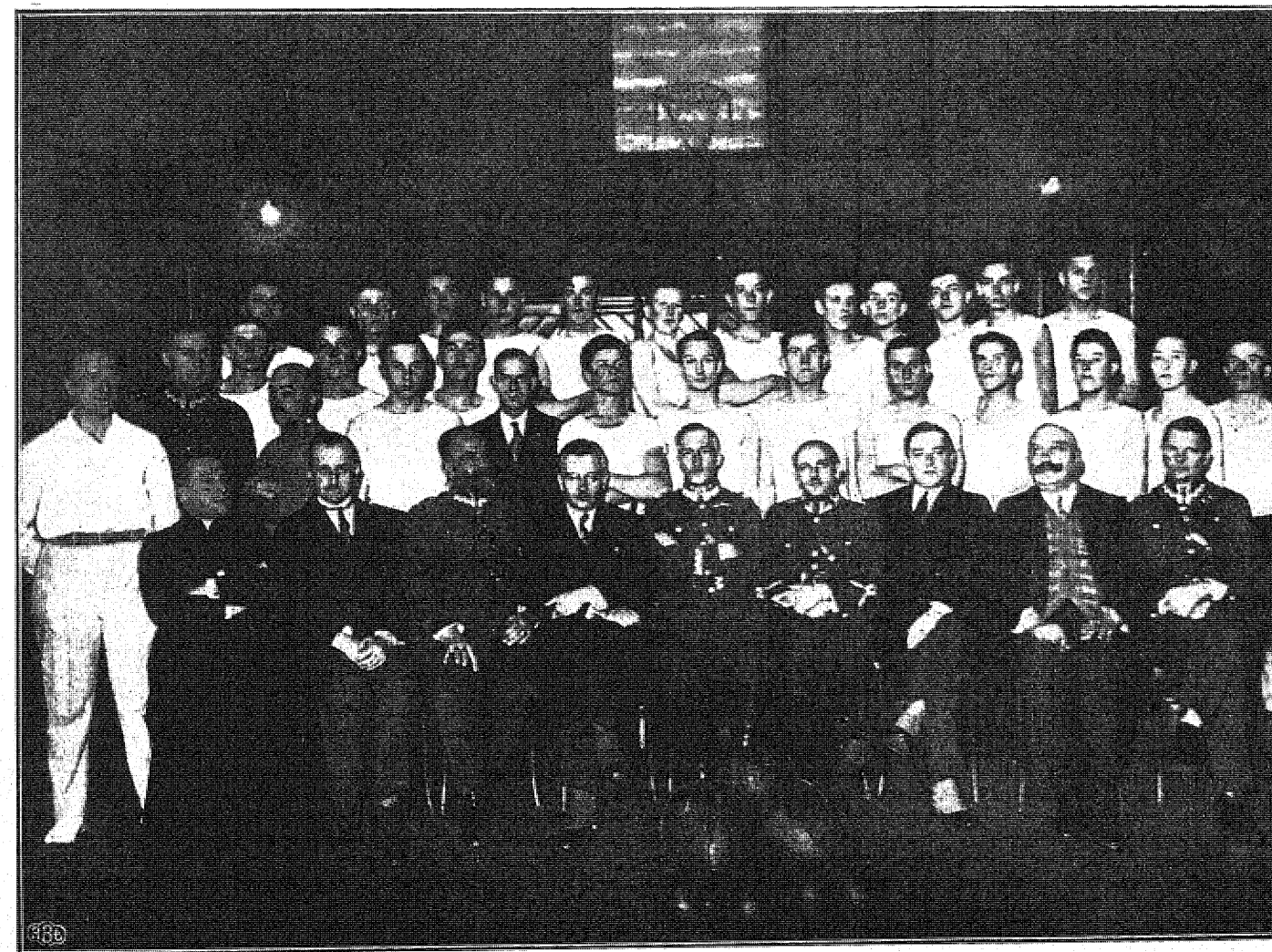
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, dnia 15 stycznia 1928 roku.

№ 3.

Kurs instruktorów wiejskich Przystosobienia Wojskowego.



Idea tężyzny duchowej i fizycznej wśród młodzieży tak świetnie rozwijająca się w ośrodku życia wielkowiejskiego, znalazła niemiernie podatny grunt i na wsi. Idei tej w chwili obecnej hołduje i służy cała młodzież wiejska, zgrupowana w Stowarzyszeniu Młodzieży Katolickiej.

Na zdjęciu widzimy uczestników kursu instruktorów wiejskich Przystosobienia Wojskowego w Łodzi z przedstawicielami władz Łódzkiego Ośrodka Wychowania Fizycznego.

Fot. A. Meyer.